7 NUMER. KWIECIEŃ 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

PAMIĘCI SŁOWACKIEGO.

O, jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echa wiecznie słychać!
J. Słowacki.

Snać z nieba echa szły w Twą duszę śpiewną
i w niej jak w pryźmie promień załamany
tęczą rozbłysku, — one w pieśnię rzewną,
w szum świętych gajów, w piorun rozkiełznany,
w żałobne hymny nad zmarłą królewną,
w tententy stepu, kędy śnią kurhany, —
dalekiej harfy zmieniały ton złoty,
na ziemię boskie rzucając klejnoty...

Szczodrze rzucałeś, choć Twój uśmiech blady
skarżył się losom, dlaczego Ci dały
głuchych słuchaczów kalekie gromady;
dlaczego wicher, słońce, kwiaty, skały,
bliższe Ci sercu niż duchów plejady
i czemu dziejów hieroglif zmurszały,
więcej Ci mówi niż żywych serc księgi
wyzbyte z woli i z czucia potęgi?

Po mękach życia Twe czoło spoczywa
pod półwiekowym, trumiennym popiołem
a owa skarga brzmi dotąd tak żywa!
Ach, i dziś głusi ze ślepcami społem
kiedy się nowy duch za Tobą zrywa,
potępianego otoczywszy kołem
biadają, głowy trzęsąc zsiwiałemi:
„Czemu pod niebo wzlata, co jest z ziemi!"

Czemu?... Dlaczego?.. Bo i dziś są ptaki,
którym przyziemna nie wystarcza klatka,
prężą więc pióra w podobłoczne szlaki,
szukając orła, Twoich wzlotów świadka,
kiedyś odbiegłszy jaśminy i maki
szedł tam, gdzie milknie trzód górskich kołatka —
mgły u stóp leżąc, nie ćmią słońca twarzy
i stoi olbrzym — duch na świata straży!

Tam rozpinałeś na tortury łoże
własną swą duszę, by w bezruch nie skrzepła,
albo z aniołem szedłeś w wschodu zorze
spocząć z podróży na straszne dno piekła —
lub rwałeś w karki zarosłe obroże —
a pierś raniłeś swą, by krew pociekła
i zmyła z Polski pstre papuzie barwy —
lub skoczkom życia zdzierałeś z lic larwy...

Błogosławione niechaj będą szczyty
zadumań Twoich przyjaciele niemi,
kiedyś w słoneczne blaski upowity
wzrok spuszczał w serca zostałe na ziemi
a płynąc dalej, aż po za błękity,
chwytał tron Boga dłońmi proszącemi
wołając: Panie, niech brat pozna brata!
Spraw, byśmy byli wielkim ludem świata

Błogosławione niech będą promienie
które Ci skronie wieńcem otaczały
gdyś drżący z bólu, zapierając tchnienie,
cierpieniem ludu, jak opłatek biały,
do Boga poniósł narodu sumienie
wołając głosem, co grzmiał na kraj cały:
„Panie, patrz, stoją na głowach swych bracil
Natchnij, wszak duchem Bożym nieskrzydlaci!...

Ksawery Marjan.

ŚWIĘCONE W WIĘZIENIU.

Obrazek.

Było to w Kownie, przed trzema laty. — Wielkanoc przypadała późno, a wiosna przyszła wcześnie, to też w Wielką Sobotę dzień był jasny, słoneczny. Z roztajałej już ziemi szły ciepłe opary zieleniły się łąki pierwszą, najmilszą barwą wiosenną, rosochate wierzby puszczały swe pęki i woń od nich płynęła brzegami poważnego Niemna.

Wiosna, wiosna, dzwoniły wróble pod strzechami, zmartwychwstanie ziemi do nowego życia szemrały niebieskie sasanki i szumiały z daleka od Mickiewiczowskiej doliny stare jodły, grzejąc się w wiośnianem słońcu.

Ciepło, jasno, radośnie na ziemi. Szłam brzegiem Niemna, zapatrzona w dal, wsłuchana w tę przedziwną muzykę budzącej się ze snu przyrody. I w duszy świetlano, jasno i ciepło. — Idzie może i inna wiosna?... Wiosna narodu, wiosna ludów uciemiężonych, idzie i niesie nam słońce wolności... Idzie — rozproszy mroki, skruszy wrzeciądze więzienne.

O jak serce drży, jak się rwie ku tej wątłej, wątluchnej nadziei... — O przyjdź wiosno, przyjdź wybawicielko z lodów i mroku, przyjdź słońce Wolności...

Zmartwychwstanie Zbawiciela nadchodzi, niedługo już a zabrzęczą dzwony i po ziemi popłynie wszerz i w dal Alleluja.

— O Chryste umęczone oczy Twe zwróć na lud ten również, o Panie, umęczony. Skrwawione Twe dłonie wznieś ponad temi ofiarami przemocy i niewoli.

Krwią swą odkupiłeś świat cały. Dozwólże, by ta krew tyle razy tu niewinnie przelewana, odkupiła tę ziemię moją w niewoli jęczącą. Zmartwychwstanie dajesz przyrodzie, dajże i nam ludziom!

„Alleluja, Alleluja! dzwoni u góry skowronek i dźwięk jego pieśni płynie ponad Niemnem, a serce wzbiera otuchą. Usłyszałam swe imię i ocknęłam się, przedemną stał dobry, serdeczny znajomy, p. Michał.

— Szukałem pani wszędzie, mówi mi, wszak to dziś Wielka Sobota. Jest już pozwolenie na dostarczenie więźniom święconego. Jedzie pan do więzienia?

— Nie. Pozwolenie jest tylko dla trzech pań. Dziś o piątej p. H., p. Tosia i pani macie prawo wstępu do więzienia...

Piąta biła na miejskim zegarze, gdy ze zgrzytem otwarto przed nami więzienną bramę i wprowadzono nas na szerokie, okolone zewsząd murem podwórze. Żołnierze z karabinami straż trzymali dokoła. Obie moje towarzyszki po raz pierwszy znajdowały się w tym obrębie przemocy i z pewnem przerażeniem rozglądały się dokoła. Panna Tosia, serdeczna Litwinka, dotąd bocząca się na mnie jako na Polkę, teraz przysunęła się bliziutko i mocno ściskała mnie za rękę. Policzki jej pałały a oczy pełne były łez.

— Nie wolno tu płakać, szepnęłam, zrobiłybyśmy tem przykrość więźniom, a radość straży.

— Nie, nie, odrzekła szeptem, ale wierzcie, tak mi serce bije, toć oni za mowę naszą litewską, za dusze dzieci naszych tu siedzą. I zobaczę ich, tych naszych męczenników, o moiż wy kochani...

Wszedł p. naczelnik, pozdrowił panię H., kazał żołnierzom zabrać przywiezione przez nas kosze i znieść je do więziennej kaplicy.

— Panie zapewne chcą same rozdać święcone? — zapytał p. H. — a na twierdzącą odpowiedź poprowadził nas za żołnierzami. W głębi więziennego kurytarza uboga, iście więzienna, kaplica zamienioną została chwilowo na salę rozdawnictwa jadła uwięzionym. Na drewnianym krzyżu, również drewniany wizerunek Zbawiciela patrzył na nas z nad ubogiego ołtarza. A ileż tu już łez popłynęło, ile westchnień wzniosło się ku Ukrzyżowanemu. Lud litewski słynie swą gorącą wiarą, a w tem więzieniu od r. 63 ileż tu było męczenników wiary i ziemi rodzinnej.

Posłano po więźniów. Pani H. z całą uprzejmością rozmawiała z panem naczelnikiem. Wdzięczne jej jesteśmy za to, ułatwi nam to może rozmowę z więźniami, zresztą ciężkie to zadanie, gdy się wie jaki to człowiek i ile ci nieszczęśni cierpią z powodu jego. Nie jestem w stanie spojrzeć w tamtą stronę, a cóż dopiero gdyby trzeba było z nim mówić.

— Więźniów jest 110, słyszę głos nosowy władzy, jest kilku studentów z Rygi i Dorpatu, zresztą chłopi wszystko. Naturalnie nie podobna sprowadzić ich tu wszystkich. Kazałem, by wezwano dziesięciu.

— Przygotowałyśmy święcone dla wszystkich.

— To się rozumie, przytwierdza pan naczelnik, otóż ci dziesiętnicy rozdzielą między więźniów. Krzywdy sobie wzajem nie zrobią.

— Czy są we wspólnej celi? — wtrąca się p. Tosia.

— Chłopi siedzą po kilkunastu razem, studenci mają każdy oddzielną celę.

— Czy mogłybyśmy zwiedzić więzienie? pyta p. Tosia.

— Niestety nie, przykro mi, ale muszę odmówić pani co do politycznych, kryminalistów cele pokazać mogę.

— Dziękuję panu uprzejmie, odpowiada p. Tosia, ale dziś już chyba będzie zapóźno.

Domyślam się, że chciała rzucić jakieś dobre słówko politycznym i że nie przez ciekawość chciała oglądać więzienie.

Wchodzi więzień wprowadzony przez dwóch żołnierzy.

— Niech będzie pochwalony, mówi po litewsku i przyklęka przed ołtarzem.

— Panna Tosia podbiega ku niemu i zaledwo się podniósł, wsuwa swą drobną dłoń w dużą, spracowaną rękę wieśniaka, którego twarz rozjaśnia się na dźwięk mowy rodzimej. Rozradowani są oboje.

Wchodzą dwaj inni.

— Za co tu was trzymają, pytam czterdziestoletniego mężczyznę, wkładając mu do worka różne jadło.

— *Oratorem* jaż był, odpowiada, ukazując w uśmiechu dwa rzędy białych zębów.

— A cóż to za oracje mówiliście?

— Wiadomo im jakie. Mówiłem, że gminie naszej trzeba mieć swój język litewski, a tego pisarza gminnego co jest Moskal wygonić, że musi tu być Litwin rodowity i musi on nas rozumieć i my jego. I wszystkie nasze sprawy muszą być po litewsku prowadzone. I ot za te oracje mnie wzięli i musi tu jeszcze trzeba będzie siedzieć.

— To szpieg was wydał? pytam.

— E, gdzie tam szpieg, jaż moja pani kochana gadawszy wszędzie i w gminie i na podwórzu, i w karczmie. Bo to, jak to powiedzieć, ta konstytucja już była, toż wszyscy my wiedziawszy, że wolność słowa jest. Toż i trzeba raz było powiedzieć i naród uczyć.

Następny więzień wyglądał na męczennika, a jego blada wymizerowana twarz i duże niebieskie oczy miały w sobie wielkie uduchowienie.

I znów go pytam dawno tu jest.

— Już trzeci miesiąc siedzę w turmie, ale do Kowna to nas przyprowadzili trzy dni temu. Ja w Telszach siedziawszy.

— I za co?

— A za cóż jak nie za swoją mowę? — uśmiechnął się. Wygnałem nauczyciela ze szkółki z Surwiliszek, wie pani może, wolność jest, mówili, no to niechże i będzie taka jak trzeba i niechże choć mój brat tak się nad rosyjską książką nie namorduje, jak ja...

— Byliście w szkołach?

— Gdzie tam w szkołach, ot myż i ziemi nie mamy, ja był w szkółce w Telszach rok jeden. Matka wdowa to mnie odebrała i toż jak się starszym zrobił, to myślę, niechaj Kaziuczek, wie pani, to niby mój brat młodszy, idzie do szkoły, ale do naszej litewskiej...

— I tak samiście tego nauczyciela wygnali?

— Et, gdzież tak, my nawet jego nie wygnali, tylko tak po dobroci poszliśmy do niego ze starszymi we wsi i powiadamy jemu: że już musi tak być i on stąd ma jechać, bo my dzieci do szkoły moskiewskiej nie poślemy, a swoją będziemy mieli.

— I on tak zaraz posłuchał i pojechał?

— No, to on nie chciał jechać, ale potemu, to on zobaczył, że niema co i tak już musi i będzie, to on wziął taj pojechał i z żoną i z dziećmi...

— A wy bez szkoły byliście?

— Gdzie znowu, toż my już sobie pierwej wypisali studenta z Dorpatu i on cały miesiąc uczył. A teraz siedzi i on tu z nami. No co robić?

— Bardzo wam tu ciężko tak siedzieć w zamknięciu? pytam silnego jak dąb litewski Budrysa.

Potrząsnął głową.

— Hm... co robić, musi, tak trzeba, jakby się ludzie bali tego co ciężkie, to nie wieleby zrobili na świecie. Jużci lekko tu nie jest, najgorzej to teraz, jak wiosną powiało, toby człowiek lecieć chciał w pole, w las, no i siedzieć musi. Trudno, jak trzeba to trzeba... Aby tylko tam na świecie o nas myśleli, i o tem, że my nie za pijaństwo, nie za złodziejstwo tu... Wytrzymamy, Bóg pomoże. A zawsze lżej będzie.

— I ptak kocha swoje gniazdo i swą własną mowę ma, bo przecie każdy inak śpiewa, a my tylko cudzą mową żyć mamy, mówił znów inny, trzymając wór do którego, głośno licząc, układałam jaja, ser, pierogi i mięsiwo. Niesporo mi to szło, i coraz to się poprawiać musiałam, a on mówił szeptem:

A co my mówicie, czy na świecie się ruszają? czy będzie wolność na naszej ziemi? Jaż tam oracje mówiwszy, że da Bóg a musi wszystko się odmieni. Żeby tylko jedność była i ludzie się nie bali.

— A pani, mówi brodaty Litwin, czemu po litewsku nie gadasz, swojej mowy wstydzić się grzech.

— Polką jestem, siostrą waszą, a od niedawna tu dopiero przyjechałam, i nie umiem po litewsku, odpowiedziałam.

— Siostra to musi po naszemu nauczyć, roześmiał się. Bywajcie zdrowe. Diekuj łabej (dziękuję pięknie) rzucił na odchodnem. Wyprowadzono nas z więzienia, towarzyszki moje pojechały, ja poszłam pieszo.

Zachodzące słońce ostatniemi błyski żegnało ziemię ponad Niemnem, ciągnęło stado słomek, zdala nawoływało się jakieś ptactwo wodne. Wiosna idzie, śpiewała cała przyroda i fale Niemna uwolnione z przemocy lodu i ziemia dysząca ciepłem wilgotnem. Wiosna ludów przychodzi, powtarzałam w duszy, myśląc o tych tam zamkniętych, a których wolnych dusz nie złamała przemoc rosyjska, nie przerażały kraty więzienne. Musić tak i będzie i ona przyjdzie, powtarzałam słowa Litwinów. I minęło trzy laty i oto znowu przychodzi Zmartwychwstanie Pańskie, a kędyż jest owa cudna, wyśniona wiosna Wolności? Więzienia pełne, szubienice się wznoszą, oratorzy rozproszeni. Mrok dokoła — nie widać słońca swobody.

Marja Reutt.

MAKATA Z WIŚNIOWCA.



Makata z Wiśniowca.

Bardzo ciekawy i rzadki zabytek dostał się obecnie do zbiorów muzeum miejskiego w Kijowie. Jest to makata, której podobiznę obok podajemy, według fotografji, nadesłanej przez p. Karola Bołsunowskiego, znanego archeologa i numizmatyka, mieszkającego stale w Kijowie.

Makata pochodzi z kościoła Karmelitów w Wiśniowcu, starej siedziby rodu Wiśniowieckich, dziś zapomnianej mieściny z tamtej strony kordonu, niedaleko Poczajowa i Brodów. Opisy tamtejszego zamku i kościoła pomieszczone przed laty dwudziestu w „Kłosach“ i roku zeszłego w „Dzienniku kijowskim“, opowiadają o strasznych czynach wandalizmu, z jakim teraźniejszość pastwiła się nad skarbcem pamiątek, dzieł sztuki, nawet nad grobami rodu, który wydał ze siebie nieszczęsnego króla Michała Korybuta. Zamek zrujnowany doszczętnie, co lepszego wywieźli Tyszkiewicze do Wilna, resztę rozdrapały kruki i hyeny archeologiczne, służba, okoliczni mieszkańcy, żydzi. Przez długie lata był zamek w Wiśniowcu centralnym punktem eksportu zabytków historycznych za granicę, a tak samo i groby podkościelne, które splondrowano tak okropnie i tak doszczętnie jak tylko potrafi chciwość, nie szanująca nawet spoczynku zmarłych.

Jedną z ostatnich pamiątek kościoła w Wiśniowcu nabyło obecnie od żydów-handlarzy muzeum kijowskie.

Makaty i tkaniny staropolskie które ongi stanowiły zasadniczy rys gustu i upodobań całych pokoleń i główną ozdobę tak pańskich zamków jak i dworów szlacheckich — należą dziś do największych rzadkości archeologicznych. Ceny płacone za tego rodzaju zabytki są tak olbrzymie, że przed kilku tygodniami nie stać było we Lwowie nikogo na zakupno małego staropolskiego dywanika, przywiezionego na sprzedaż przez przemyskiego handlarza p. Weinreba. I o ile nie zakupił go hr. Roman Potocki z Łańcuta,

rzecz ta prześliczna skazaną była na wywiezienie do Berlina lub do Ameryki.

Zbiory tkanin dawnych są bardzo nieliczne. Najpiękniejszy z nich pani Heleny Dąbczańskiej ze Lwowa przeznaczony został na Wawel. Tak samo szczupłą jest i literatura, bo oprócz dzieł przedwcześnie zmarłego śp. Emanuela Swieykowskiego i ks. Longina Żarnowieckiego, prawie nic w tym zakresie nie posiadamy.

Tem ciekawszą będzie przeto opinja ks. Żarnowieckiego, jedynego dziś w Polsce fachowego znawcy, o niniejszej makacie z Wiśniowca. Na podstawie przysłanej sobie do Petersburga fotografji zabytku orzekł ks. Żarnowiecki, że sceny na nim przedstawione, wzięte są z żywotów świętych i odnoszą się do św. Franciszka Ksawerego, który „miał wskrzesić dwóch umarłych w chwili, kiedy ich niesiono do grobu; — podczas jednej ze swoich morskich podróży zamienił wodę morską na słodką, przez co uratował kilkuset majtków, którzy już umierali z pragnienia; — i kiedy w swych misjach przybył do jednego z królików japońskich, to ten go przyjął z wielkimi honorami.“

„Otóż, zdaniem mojem, pisze ks. Żarnowiecki, te trzy wypadki złożyły się na temat naszej makaty wiśniowieckiej, a mianowicie w ten sposób: że w lewym dla widza przedziale, na wspaniałych marach (feretrum), odtworzono jeden z cudów wskrzeszenia; w prawym — uzmysłowiono przemienienie wody, tylko miasto tego żywiołu przez metonimię, jak to czynią poeci, użyto Neptuna, boga morza i wody, — a po samym środku przedstawiono uroczyste powitanie świętego przez króla, jego świtę i bonzów. W tem ostatniem miejscu widzimy, jak św. Franciszek, opowiadając królowi Chrystusa, pokazuje mu krzyż, jako streszczenie i godło całej nauki swego Mistrza, a król, pod baldachimem, słucha go uważnie i chętnie, ile że — jak czytamy w Żywotach Świętych — sam pragnął go widzieć i wiarę jego poznać.

„Postacie w strojach europejskich, znajdujące się w tym samym przedziale, są to zapewne Portugalczycy, którzy mogli towarzyszyć świętemu w jego podróżach na dalekim Wschodzie. Medaliony zaś tak się niewyraźnie przedstawiają, że nawet w sferze najdalej sięgających domysłów nic się o nich powiedzieć nie da.

„Styl deseniu jest barokowy, co zaś do haftu, to jest to tak zwana aplikacja czyli haft nakładany (Aufnäh-Arbeit), którego istota polega na tem, że na tło tkaniny jednej nakłada się kawałki różnych tkanin innych, od tego tła odmiennych, czyli — że na pojedyńcze miejsca przeniesionego na materję deseniu nakłada się i zakonturowuje kawałki różnych materji, odpowiednio wycięte; przyczem rysy twarzy, żyłki na liściach, wąsy na gałęziance, zarówno jak światła i cienie, oddaje się różnymi ściegami — sznureczkowym, gałązkowym, węzełkowym, płaskim, stebnówką i in.

„Haft tego rodzaju — jak stwierdzają mnogie odkrycia — był znanym już starożytnym Egipcjanom, Grekom i — jak chcą niektórzy — nawet Rzymianom, gdyż *paragandae* czyli owe taśmy, które dawni Rzymianie naszywali niekiedy na swoich tunikach, *paragandae tunicae*, były właśnie w guście takiej roboty. Nie był on obcy też i wiekom średnim, boć inwentarzom to przecie ówczesnym zawdzięcza swoją nazwę łacińską — *opus consutum*. Lecz największe upodobanie miały w nim odrodzenie i późniejsze tego stylu odmiany, a szczególnie wiek XVII. do którego właśnie i nasza makata należy.

„Starożytnych zabytków takiego haftu przechowało się jeszcze sporo tu i ówdzie w Europie; lecz — o ile mi wiadomo — żadna miejscowość nie posiada tak bogatej kolekcji tego rodzaju okazów, co kościół parafjalny w Żarnowcu na Pomorzu“.

Nie wspomina jednak nic ks. Żarnowiecki o figurach u spodu makaty, które całemu zabytkowi nadają swojskiego charakteru i świadczą, że makata wyrobioną została na miejscu. Widzimy tu przedewszystkiem wyobrażenie Kozaka uzbrojonego, Tatara z łukiem i strzałą i dwu pachołków węgierskich z dzidami, czy halabardami, tak jak ich wówczas utrzymywali magnaci na swoich dworach.

Piękny i gustowny ornament barokowy, tworzący rodzaj całości architektonicznej, powiniem może być wzorem dla jedynego dzisiaj wytwórcy makat, hr. Potockiego z Buczacza. Bo zasadniczy styl i charakter makat nie znosi ornamentu drobnego i ciągłego. Makata, przeznaczona do zawieszenia na ścianie powinna się tłómaczyć jako całość sama dla siebie, jako rodzaj obrazu. Takimi też są przeważnie makaty wschodnie, pierwowzory makat staropolskich.

F. J.

Kilka słów w sprawie muzeum etnograficznego.

II.

Muzeum etnograficzne jest to w miniaturze obraz materjalnej i duchowej kultury danego narodu. Minęły te czasy, kiedy na muzea spoglądano wyłącznie jako na wystawę przedmiotów, używanych przez dany naród, specjalnie starannie przyrządzonych, by mile łechtały oko widza... Obecne muzeum jest odzwierciedleniem nietylko bogactwa narodu, ale i jego nędzy; nietylko jego zaradności, ale i braku takowej. I im ściślej będzie w muzeum odzwierciedloną rzeczywistość, tem większą

korzyść z takiego muzeum można osiągnąć. Zrozumienie tego jest najpoważniejszą wskazówką dla każdego, ktoby zapragnął pospieszyć z pomocą tworzącej się instytucji.

W muzeum spółczesnem przedewszystkiem powinny być przedstawione naturalne bogactwa kraju: zbiory botaniczne, mineralogiczne, zoologiczne, by umożliwić zestawienie tych bogactw z tem, jak i o ile ludność umie z nich korzystać. Tego rodzaju zbiory wielu obywateli bez wielkich mozołów mogłoby dostarczyć.

Drugą niemniej ważną rzeczą są narzędzia pracy. Mając bowiem materjał surowy, narzędzia pracy i wyrób, już można sobie stworzyć dokładne pojęcie o poziomie kulturalnym danego narodu, o jego zaradności, o szanowaniu pracy swej i czasu.

Wiadomo, że Anglicy doszli do wniosku, iż „czas — to pieniądz“; mniej jednak wiadomo, że gdyby Chińczycy zechcieli sformułować swój stosunek do czasu, to prawdopodobnie ujęliby go w formułę: „czas — to nic“. W muzeach stołecznych całego świata wywołują zdumienie i zachwyt wyroby chińskie z kości słoniowej lub z kości mamuta. Gdyby jednak obok tych misternych wyrobów położyć bardzo pierwotne szydło, jako narzędzie, którem się Chińczycy przy tej pracy posługują i wskazać, że na takie cacko zużyli 2, 3, a niekiedy nawet 4 lata, to zdumienie może by pozostało, ale jedynie z powodu tak nieprodukcyjnego marnowania pracy i czasu.

Już z tego przykładu czytelnik łatwo zrozumie, jak wielkie znaczenie posiada kolekcja instrumentów i narzędzi pracy, jak olbrzymią rolę odgrywa każdy nawet najdrobniejszy przedmiot.

Przytoczę jeszcze kilka przykładów, by to jeszcze bardziej unaocznić.

Włościaństwo nasze dotąd używa do jedzenia drewnianych łyżek. Taka łyżka, figurująca w dziale statków domowych już poniekąd sama przez się ilustruje byt włościanina. Łyżka taka jednak poza powyższym działem może figurować bądź jako wyrób w dziale rzemiosł, bądź też jako przedmiot kupowany przez włościan w dziale handlu wewnętrznego lub zagranicznego. W pierwszym wypadku taka łyżka, jako okaz wyrobu miejscowego już sama przez się nie wystarcza, gdyż nie daje żadnych wskazówek, ile pracy i czasu wyrób ten pochłania ani też czy używane przy tem narzędzia ustępujące pod względem doskonałości narzędziom używanym gdzieindziej, nie wymagają nadmiernego a bezużytecznego wydatkowania sił, pracy i czasu. W drugim wypadku, gdy przedmiot jest nabywanym z zewnątrz, a włościanin posiada na miejscu potrzebny materjał i odpowiednie instrumenty — otrzymujemy również obraz stanu kulturalnego, aczkolwiek tym razem negatywny.

Wzięliśmy na chybił-trafił jeden drobny przedmiot. Takich przedmiotów jest mnóstwo — przypomnijmy sobie choćby zabawki dziecinne, a w każdym z takich nawet drobnych przedmiotów odbija się jak w zwierciadle stan kulturalny ludności.

Że przyczynić się do zebrania takich przedmiotów może każdy — tego chyba udowadniać niema potrzeby. Zwrócę więc tylko uwagę, że bardzo poważny udział w tem mogłoby wziąć nasze kupiectwo przez dostarczenie kolekcji przedmiotów, nabywanych przez włościan w różnych częściach kraju. Z konieczności wspominam o różnych drobnych szczegółach, bo zwykliśmy bagatelizować znaczenie drobnych przedmiotów, drobnej pomocy. Zawsze się nam zdaje, że apel o pomoc skierowany jest bądź do specjalistów, bądź do specjalnych mecenasów tej gałęzi wiedzy. Tak nie jest. Przez obojętność i bierność zwykłych obywateli idą na marne prawdziwe skarby. Przytoczę drobny przykład. W Zakopanem pani X. pokazując mi swe nadzwyczaj skrupulatnie i umiejętnie zebrane kolekcje, zwróciła moją uwagę na tak zwany „krzyżyk niespodziany“ na trzonkach nożów zbójnickich. Jakież było moje zdziwienie, a sądzę że i pani X., gdy ten krzyżyk okazał się bardzo mi dobrze znanym znakiem klanowym („swastika“) najstarszych klanów mongolskich i mongolo-turańskich.

Kiedy, jak i jaką drogą ta świętość mongolska przedostała się z gór Sajańskich aż na nasze Tatry, dotąd pozostaje zagadką... Ale takich zagadek już wiele rozwiązano tylko dzięki temu, że ludność nie lekceważyła sobie takich rzeczowych pamiątek przeszłości, że każdy zabytek przeszłości znoszono do muzeów.

Powtarzam. Dzięki lekceważeniu tych skarbów zginęło już wiele. Jeżeli chcemy temu zanikowi zaradzić na przyszłość, powinniśmy się stać niejako towarzystwem opieki nad zabytkami przeszłości i czuwać na tem, żeby odtąd nic z tych zabytków nie ginęło. Jest to obowiązkiem całego społeczeństwa i każdego poszczególnego członka tego społeczeństwa.

Feliks Kon.

Wywiad u pisanczarki.

Komu nie jest znanym niezwykły wdzięk i ten przedziwnie zgodny akord barwny pisanek na Rusi, a przedewszystkiem pisanek z Huculszczuzny, które zwracają na się uwagę miłośników kunsztu dekoracyjnego? A zwłaszcza pisanki z okolic Kosmacza i Żabiego i wogóle z Huculszczyzny całej, czy to z nad Czarnego czy Białego Czeremoszu czy z górskich okolic Prutu?

Otóż będąc mniej więcej pomiędzy rokiem 1875 a 1877 niejako w samym rdzeniu Huculszczyzny, kiedy to malując lud huculski, stałem u tego ludu w podejrzeniu, że ich „zapysuję w farmazony“ — (długo

zastanawiałem się, co to mogą być te „farmazony“ — i przyszedłem do przekonania, że to zapewne ma znaczyć franc maçon czyli wolnomularz). Obok malowania, starałem się poznać ich zręczność zdobniczą. Zapragnąłem wreszcie poznać i sposób robienia pisanek. Wybrałem się tedy w tym celu do zaprzyjaźnionego gr. kat. parocha w Żabiu, do księdza Sofrona Witwickiego. Był to sobie jowialny, górski proboszcz, nieco poeta, a jaknajmniej, jak to mówią „chapoknyszem“, przytem przyjaźnie do Polaków się odnoszący. Ksiądz Sofron przyjął mię, jak zwykle, bardzo uprzejmie i rozpoczęliśmy naszą najczęstszą pogawędkę o wszystkiem, co Huculów, ich zdobnictwa, zwyczajów i obyczajów dotyczy. Opowiadał mi o Oskarze Kolbergu, który tu raz do niego zawitał i przysłuchiwał się spiewkom huculskim, porównując je z podobnemi, jakie zasłyszał w Norwegji, opowiadał jak on odrysowywał sobie naczółek u dachu z pewnej starej chaty i tym podobne rzeczy inne. W toku naszej rozmowy przeszliśmy do tematu pisanek. Objawiłem mą ciekawość zobaczenia manipulacji przy sporządzaniu pisanek, a że to był właśnie czas przedwielkanocny, więc była najlepsza sposobność ku temu.

Uprzejmy jak zawsze ksiądz Sofron, przywołał swoją służącę i rzekł do niej: „powedy seho pana do staroi Hrycychi, szo pysanki pysze“.

Pożegnawszy księdza i dziękując za uprzejmość, wyruszyłem z dziewuchą w drogę do pisanczarki Hrycychi. Droga była dosyć daleką aż pod wierch. gdzie stała jej chata wysoko pod lasem (na Huculszczyznie bowiem sąsiad od sąsiada mieszka czasem 4 lub 5 i więcej kilometrów). Szliśmy ścieżkami tu i ówdzie parawanem smreczyny przysłoniętemi aż dotarliśmy do upragnionej chaty Hrycychi. Wchodzimy — tu zaduch okropny i ciemno. Po chwili rozpoznaję postać; przy małem kwadratowem okienku o czterech zadymionych szybkach siedzi na ławie stara kobieta o ostrych rysach twarzy w okularach — na grzbiecie garbatego nosa — i „pysze“ pisankę drucikiem czy jakimś podobnym przyrządem w prawem ręku, (pisać — jest u huculskiego ludu to co w polskiem rysować). Po pozdrowieniu „dobryden gazdyńko“! (gdyż „sława Isusu Chrystu“! tu na Huculszczyznie prawie się nigdy nie słyszy, tylko „dobryden“! na co w odpowiedzi się dostaje: „dobre zdorowie“! lub w czasie południowym „jak dnujete?“ a wieczorem „jak dnuwałyśte?“ — odpowiedź: „harazd jak wy sobi?“)

Zwróciłem uwagę starej pisanczarki, że w jej chacie okropnie gorąco i czy nie należałoby drzwi odewrzeć, by z sieni (choromy) dostać nieco lepszego powietrza? Ta jednak mię objaśniła, że w takim razie roztopiony wosk, którym pisze — zastygałby jej prędko, coby niebyło dla niej przy tej pracy pożądanem. Zacząłem więc w tej łaźni rozpytywać się o szczegóły „pisania“. „To, proszu was, tak“: i zaczęła mi objaśniać, że najpierw tem narządkiem, który trzymała w ręku „pysze“. Umaczawszy narządko w roztopionym pszczelnym wosku, ciągnie najpierw linje rysunku, jakby powiedział niemiec „Leitmotiv“; — po narysowaniu wrzuca tą linjową, jakby z wosku, płaskorzeźbę najpierw do kraski żółtej, która przedtem w wodzie rozpuszczoną została. Po obeschnięciu żółtego zabarwienia rysuje woskiem te miejsca, które mają być żółte i wrzuca je następnie w kraskę czerwoną; postępuje jak przedtem i wreszcie wrzuca, jeśli pisanka ma być o trzech barwach, do barwnika czarnego. W końcu, gdy pisanka już wystygła wrzuca się w gorącą wodę, by rysunki woskowe spłukać, i — pisanka gotowa.

Czasem wchodzi tu jeszcze kolor zielony, szczególnie w okolicach Kosmacza a także i złocenia na kończynach pisanki, dla bogatszego wyglądu. Oprócz pisanek są na Rusi w użyciu także i jednokolorowe zabarwienia t. zw. „kraszanki“ albo też „śliwki“.

Otóż kolory pisanek, obok białego, są następujące: żółty, czerwony, czarny lub bronzowy i zielony; kolor niebieski nigdy nieprzychodzi a fiołkowy wogóle na Rusi w zdobnictwie nigdy nie jest używany. Co do rysunku, to są to trójkąty, krzyże, gwiazdy, kacze ogony, pawie kółka, gałązki a czasem i zwierzęta, jak konie lub ptaszki.

Niektóre motywy pisanek są najwyraźniej pochodzenia starogreckiego — jak się o tem z kilku tablic chromolitograficznie w publikacji Muzeum przemysłowego we Lwowie przezemnie z natury rysowanych, przekonać można.

Najbogatszy zbiór pisanek posiada we Lwowie malarz Dębicki, także Muzeum Dzieduszyckich i Muzeum przem. miejskie.

Dawniej zajmowały się pisaniem pisanek głównie dziewki, obecnie przeważnie prawie starsze kobiety.

Na Huculszczyznie obdarowują kobiety swoich amantów pisankami podczas świąt wielkanocnych a gdy im same nie dają, odbierają im je parobczaki siłą.

Seweryn Obst.

MALUCZCY.

(Ciąg dalszy.)

W leszczynowym gaju spotkaliśmy się niespodzianie. Kwiecia była obfitość, rwałam je pełnemi garściami. Pochylał smukłe gałęzie leszczyny i rzucał mi w fartuszek pęki otulonych zielonem kędzierzawiem orzechów. Potem usiedliśmy nad zdrojem, topiąc stopy w gąszczu niezabudek, a dłonie w miękim jedwabiu trawek. Myśli pomknęły, jak ptaki. Milczeliśmy długo. Nie wiem, o czem on marzył; lecz moja dusza była daleko, niezmiernie daleko — na szlakach tęczowych półsnu, półjawy,

ukołysana tęsknotą rzeczy wielkich, dalekich, a jak pięknych!

Stało mi się ciasno i duszno. Skrzydeł nie miałam, a leciećbym chciała...

Spojrzałam ku niemu. Siedział zgięty, z głową pochyloną, niekształtny kalekiem niemal swem ciałem, pobladły, z zwartemi mocno wargami, bezbrzeżnie smutny.

Gdyby bratem mi był, ujęłabym jego ręce i rzewnie, miękko zajrzałabym mu w oczy. Obcego słowem tylko i uśmiechem z bolesnej zadumy wywieść śmiałam. Przyjął uśmiech i słowo życzliwe i poczęła się snuć między nami gawędka prosta i szczera — niezawiłych myśli łatwa zamiana — jak prostym był świat otaczającej nas przyrody, jak szczeremi nasze serca młode.

Odtąd dusze nasze przestały być dla siebie obcemi.

— — — — — — — — — — — — — —

Tyś pierwszy był, który mi pomagał niesformułowane jeszcze moje myśli i porywy, rozpierzchłe, nieujawnione wyraźnie, a już wrzące, wybuchliwe, torujące gwałtownie dogodne dla siebie ujście, zebrać w jednolitą całość, otworzyć przed niemi jakieś drzwi, wskazać jakąś przestrzeń wolną, wywieść na drogę właściwą, powiedzieć im: tędy iść możecie.

Ach, jakim szczęśliwym, słonecznym uśmiechem jaśniały ci oczy, kiedy mówiłeś mi to wszystko, co mogło mi przydać się na coś, kiedyś przynosił mi książki, kiedy nie wywierając zbytniego nacisku, dawałeś jedynie siłę mojej duszy, aby uróść i stać się mogła dojrzałą i mocną.

Czułam, że byłeś wówczas szczęśliwy — nie wiem tylko, czy bardziej tem, że duszy mojej „prostujesz ścieżki“, czy tem, że i ja byłam tak szeroko, tak szlachetnie szczęśliwą.

— — — — — — — — — — — — — —

Dziwną miałeś duszę; nie pociągała cię żadna wielkość; to, przed czem ludzie na twarz padają, jakabądź potęga, nie była nigdy bożyszczem dla ciebie. Wszystko słabe, maluczkie, zmęczone, wątpiące — to tylko jednało twe serce. Powiedziałeś mi raz: kiedy spotykam dobrych, rozumnych, spokojnych, nawet wielkich myślą i sercem, skłaniam nisko głowę przed nimi — i dalej przechodzę. Lecz kiedy spostrzegam, że ktoś zmaga się ze sobą, albo że ktoś w zbyt ubogich duchowo warunkach będący, pragnie z nich wyjść, męczy się, drogi szuka, błądzi, upada i znów się podnosi — lub że ktoś przeklina i płacze, albo gdy zbrodniarz modli się, lub grzesznik nienawidzi siebie — wtenczas przejść, nie zatrzymawszy się przy nich, nie mogę“.

Cały byłeś w tych słowach. Opowiadano mi później, że często dziwni otaczali cię ludzie. Zgrany, któregoś spotkał nocą nad brzegiem rzeki, czeladnik zbiegły od niegodziwego majstra, robotnik bez pracy, który ostatni grosz przepił z rozpaczy, szwaczki, które uciekły od hańby, anarchista, trop w trop śledzony przez policję, znajdowali u ciebie przytułek lub pomoc. Sam będąc często bardziej niż biednym, dzieliłeś z nimi chleb swój, jeśli go miałeś, i ściany twej izby ubogiej widziały dziwnych, a coraz nowych mieszkańców. Nie powstrzymał cię nigdy sąd ludzki, ani żarty kolegów, ani pewne piętno dziwaka, które zwolna przyrastać do ciebie zaczęło — szedłeś i czyniłeś swoje: ratowałeś, gdzie trzeba było ratunku, pocieszałeś, gdy kto potrzebował pociechy, nauczałeś, kto żądał światła. A wśród tego wszystkiego potrafiłeś pracować wytrwale, nieraz nocą, gdy dzień był zajęty, głodny, marznący, chory — już chory, mój biedny, mój nieodżałowany przyjacielu...

— — — — — — — — — — — — — —

Wanda Dalecka.

(C. d. n.).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dzieci polskie powiastka dla młodzieży przez Wandę Studnicką. Lwów. Tow. pedagogiczne. Dziełko z dużemi zaletami literackiemi i aktualną myślą pedagogiczną. Na tle stosunków, panujących w rosyjskich przytułkach dla sierót, gdzie siłą rusyfikuje się polskie dzieci, wysnuła autorka sierocą dolę dwojga rodzeństwa, z krórych chłopczyk przepisany gwałtem na prawosławie buntuje się pod wpływem siostry i zachowuje polską duszyczkę. Przygody dwojga dzieci, wydartych wreszcie przez ludzi dobrej woli ze szpon rusyfikatorskich, pełne są wzruszających szczegółów, a dziatwę naszą pouczą o strasznej doli braci i sióstr za kordonem. I w tem leży właśnie wysoka pedagogiczna i narodowa wartość książeczki, napisanej z głęboką znajomością ludzi i stosunków, a barwnie przytem i żywo.

Zygmunt Mosiewicz: Wiersze. Kijów 1909. Wiersze p. Mosiewicza są w miarę zimne i w miarę gorące. Autor panuje bardzo nad swem piórem. Nic nierozważnego, zawrotnego nie wyrwie mu się na papier. Chyba oburzy się — gdy mowa o... bojowcu. P. Mosiewicz w tomie pierwszym swych wierszy wyrusza, jako prawdziwy Kijowianin, do boju z bojowcami i opisuje, jacy oni to bohaterowie w knajpie i na ulicy, a jacy tchórze wobec szubienicy. Naturalnie nikomu to nic nie szkodzi. „Z motywów Boecklinowskich“ stworzył p. Mosiewicz kilka powierzchownych wprawie, lecz ładnych wierszy. „Sonety polskie“ są zupełnie zbyteczne. Kilka potoczystych i zgrabnych wierszy jest w cyklach „Miasto“ i „Na włoskiem morzu“. *Fel. Gw.*

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.